

Pogrzebani żywcem

2 listopada 2013

Czy praca serca może nagle ustać, a potem pojawić się jak gdyby nigdy nic? Najprościej byłoby uznać, że to lekarz zaniedbał swoich obowiązków. Jednak podobne przypadki zdarzają się na całym świecie i to od dawien dawna. Swego czasu w Europie i Ameryce obawy o pochowanie żywcem były w społeczeństwie tak silne, że wynaleziono szereg technik, by upewnić się, że zmarły rzeczywiście odszedł na zawsze...

„Być pogrzebanym za życia jest najstateczniejszą okropnością, jaka może przydarzyć się człowiekowi – pisał 150 lat temu autor znakomitych opowieści grozy, Edgar Allan Poe. – Wiemy, iż istnieją choroby, w których pojawia się zupełny zastój wszelkich czynności życiowych... Po pewnym czasie jednak jakiś tajemniczy czynnik znów wprawia w ruch magiczne sprężyny i zakłute koła organizmu. Nie roztrzaskała się bezpowrotnie złota czara. Lecz co podówczas działo się z duszą?”.

No właśnie, czy dusza odchodzi tylko na chwilę, by zaraz powrócić? A jeśli tak, co czuje człowiek, który po powrocie do przytomności stwierdza, że znajduje się w dębowej skrzyni z kilkumetrową warstwą ziemi nad sobą? Pytanie z gatunku jak najściślej retorycznych.

Obawa przed pochowaniem żywcem nabrała charakteru obsesji na przełomie XVII i XVIII wieku. Żądano wówczas, aby ciało chowano nie wcześniej niż 48 godzin od stwierdzenia zgonu! Tego rodzaju wskazania były efektem psychozy – nagminnie opowiadano sobie mrożące krew w żyłach historie o ludziach, którzy budzili się w skrzyni zakopanej w ziemi i umierali z braku powietrza, o ile wcześniej nie zabił ich potworny stres.

Jak podaje Philippe Aries, francuski historyk idei, jedna z pierwszych takich opowieści pojawiła się w XVII wieku. Dotyczyła studenta pochowanego na cmentarzu Saint-Sulpice.

Figura jego umieszczona na płycie grobowej była bez ramienia; nikt nie pamiętał, czy ktoś je ukradł, czy też może rzeźbę naruszył nieubłagany czas. Dość, że zaczęto sobie opowiadać, że młody człowiek odzyskał świadomość już w grobie. I co potem? Zamknięty w koszmarnym więzieniu, kawałek po kawałeczku pożarł własne ramię! Taki widok ukazał się oczom ludzi, którzy na prośbę guwernera młodzieńca dokonali ekshumacji zwłok. Kiedy ciało powtórnie spoczęło w grobie, w niejasnych okolicznościach zniknęło ramię nagrobnej rzeźby. Było to symboliczne odzwierciedlenie dramatu, jaki rozegrał się wcześniej pod ziemią.

W 1742 roku, profesor paryskiego College Saint – Come J. B. Winslow napisał dzieło o znaczącym tytule „Traktat o niepewności oznak śmierci”. Praca ta nie zawierała jedynie rozważań teoretycznych – Winslow utrzymywał, że jego samego bez potrzeby pochowano dwukrotnie. Twierdził prowokacyjnie, że „jakkolwiek nowoczesne, chirurgiczne metody stwierdzania zgonu są lepsze niż tradycyjne metody używane przez lud, daleko im jednak do niezawodności. Smrodek rozkładu to jedyna pewna oznaka śmierci.” W efekcie – konkludował – wszystkim ludziom zagraża niebezpieczeństwo przedwczesnego pogrzebania. Aby uniknąć tego scenariusza, zalecał serię prób mających wykazać niezawodnie, że trup jest naprawdę trupem. „Nozdrza zmarłego winny być drażnione nieprzyjemnymi zapachami, na przykład cebuli, czosnku lub chrzanu... Dziaśła należało natrzeć czosnkiem, a skórę stymulować biczem i igłami”. Jelita pobudzano najostrożniejszą lewatywą, kończyny ciągnięto z całą gwałtownością, uszy torturowano „ohydnyymi wrzaskami i wielkim hałasem”.

Jeśli wszystkie te poczynania nie doprowadziły do „zmartwychwstania”, następowała faza druga. Gorliwi lekarze najpierw nacinali podeszwy nieszczęśnika i wbijali mu igły za paznokcie u nóg. Istniały też inne opcje: przypiekanie stóp, wylanie na czoło gorącego wosku. I tak dalej.

Praca Winslowa zaginęłaby pewnie w mrokach zapomnienia, gdyby

w XIX w. nie odgrzebał jej francuski lekarz Bruhier. Nie tylko dzieło to ponownie wydał, ale dodał jeszcze obszerny rozdział własnego autorstwa, zawierający liczne przypadki „dowodzące”, że przedwczesny pogrzeb to poważny problem społeczny. Przykłady zacytowane przez Bruhiera należy uznać za pouczające. Bez wątpienia miały one charakter archetypów. Wiele ekshumowanych ciał pozbawionych było palców – reformatorzy obyczajów pogrzebowych zakładali, że sami pogrzebani zjedli je w oczekiwaniu na ratunek. Takie okaleczenia, które stanowią stały element opowieści o przedwczesnych pogrzebach, mogły być jednak spowodowane naturalnymi procesami gnilnymi.

Inna popularna historia opowiada o młodym mnichu, który zatrzymał się w gospodzie i został poproszony przez gospodarzy o czuwanie przy ciele ich pięknej córki. Pozostawiony sam na sam ze zwłokami, mnich dał upust żądzom. Tym sposobem nie tylko ożywił dziewczynę, ale jeszcze uczynił ją brzemienną! Kiedy wrócił do gospody dziewięć miesięcy później, niańczyła ona nowo narodzone dziecko... Natychmiast wyznał rodzicom, że to on jest ojcem maleństwa i ofiarował się poślubić dziewczynę. Propozycja młodego mężczyzny została skwapliwie przyjęta.

Tak naprawdę jednak utwory w rodzaju „Lubieżnego mnicha” to opowieści ludowe, legendy funkcjonujące w wielu kulturach.

Książka Bruhiera została przetłumaczona na kilka języków – w tym, przede wszystkim, na niemiecki. Wieść o niebezpieczeństwie przedwczesnego pogrzebania zabrzmiała dla teutońskiego ucha niczym dzwon wzywający na metafizyczną ucztę. Przez następne półwiecze wspaniała „kraina poetów i filozofów” stała się rajem kostnic – poczekalni. Ułożone w długie rzędy ciała leżały w towarzystwie gotowych rzucić się im na pomoc urzędników; czuwali oni dopóty smrodek rozkładu zniweczył wszelką nadzieję.

Dlaczego świat uległ nagle obsesji na punkcie pogrzebania żywcem? Można zaproponować takie oto wyjaśnienie tego

fenomenowi: strach przed śmiercią w trumnie był następstwem postępującej dechrystianizacji. Ludzie zaczęli kwestionować chrześcijańskie dogmaty, a świecki racjonalizm stworzył emocjonalną próżnię. Prowadziło to do zwiększonego lęku przed śmiercią. Fizyczne tortury, które cierpiał pogrzebany żywcem, a o których wyobrażenie dają obgryzione ręce, posiniaczone głowy, pokryte strupami ciała – mogą być interpretowane jako „świeckie piekło”.

W rezultacie w większości krajów Europy przyjęto 12 do 24-godzinny okres oczekiwania przed pogrzebaniem każdego zmarłego. Lęki te sprawiły, że ze szczególną ostrożnością zaczęto traktować osoby zmarłe na apopleksję, topielców, a także histeryków.

W roku 1791 w Weimarze powstał pierwszy pokój dla trupów z ośmioma „stanowiskami”, nadzorowany przez miejskiego urzędnika. Budowniczy tych kostnic, czcigodny Christoph Wilhelm Hufeland, podkreślał, że funkcję tę powinni pełnić silni młodzi ludzie, a nie wychudzeni staruszkowie, którzy zwykle pracowali w kostnicach.

Druga taka kostnica powstała w Berlinie. Posiadała istotne udogodnienie: podczas gdy w Weimarze zmarli mogli liczyć jedynie na czujność opiekuna, w Berlinie zamontowano system sznurków, które przymocowywano do palców u rąk i nóg zmarłego; sznurki te biegły do dużego dzwonu.

Najbardziej atrakcyjne było jednak prosektorium wybudowane w Monachium. Posiadało ono potężną fisharmonię, podczepioną sznurkami do trupich palców. Każdego dnia pracownik kostnicy grał na tej fisharmonii, by zademonstrować jej sprawność. W nocy puchnięcie rozkładających się ciał powodowało fałszywe alarmy, a biednego dyżurnego zrywała na nogi iście upiorna symfonia z pokoju trupów.

Kariera niemieckich kostnic – poczekalni, czyli Leichenhauser, była zaskakująco długa – w latach 90. XIX wieku większość z

nich posiadała systemy alarmowe, a w latach 40. XX wieku dwie kostnice w Alzacji chlubiły się nawet systemami elektrycznymi (przełączniki przezornie umieszczano w dłoniach przywożonych zmarłych).

W końcu jednak te dziwaczne instytucje podzieliły los ptaka dodo – ich zniknięcie przyspieszyły ogromne koszty utrzymania, strach przed „śmiercionośnymi wyziewami”, a także zniechęcający fakt, iż nie odnotowano nigdy przypadku „zmartwychwstania”. Tańszym rozwiązaniem wydawały się „trumny bezpieczeństwa”, w których zmarły mógł, obudziwszy się ze śmiertelnej drzemki, pozostać żywym przez czas potrzebny do wezwania pomocy.

Pierwsza taka trumna została skonstruowana dla księcia Ferdynanda z Brunszwiku w roku 1792. Zawierała okno oraz otwór umożliwiający dopływ powietrza; nie była zamykana. Na taką trumnę nie każdy mógł sobie pozwolić, wkrótce powstały jednak tańsze jej wersje.

Pewien niemiecki proboszcz uważał, że wszystkie trumny powinny mieć rurki i sznurek połączony z kościelnym dzwonem. Zmarły musiałby tylko pociągnąć za linkę. Inny duchowny radził, aby trumny wyposażać w rurkę sięgającą na powierzchnię. „Miejscowy proboszcz powinien obchodzić każdego ranka kościelny cmentarz i zatrzymywać się przy świeżych grobach, by przy pomocy zmysłu węchu sprawdzić, czy rurka może już być bezpiecznie usunięta”. W niektórych „trumnach bezpieczeństwa” istniała dodatkowo możliwość podania „zmartwychwstałemu” przez rurkę do wzywania pomocy jedzenia i picia, żeby mógł posilać się już w czasie ekshumacji. Wynalazca tej trumny dwukrotnie wypróbował jej funkcjonalność na samym sobie. Za drugim razem spożył pod ziemią klasyczną niemiecką zupę, kiełbaski i piwo, potem zaś wygłosił mowę do obserwatorów zgromadzonych nad jego grobem.

W dziedzinie projektowania „bezpiecznych trumien” prym wiedli jednak pełni pomysłów Amerykanie. Niektóre jankeskie modele wyposażone zostały nawet w telefony i grzejniki, nie

wspominając już o zapasach jedzenia i wina.

Te wspaniałe urządzenia miały wszakoż kilka felerów. Pierwszy problem stanowiły elementy sygnalizacyjne. Rozkładające się ciało puchło, a to powodowało fałszywe alarmy. Poruszenia kończyn wywołane procesami gnilnymi mogły stanowić wyjaśnienie opowieści o ciałach, które po ekshumacji znajdowano w pozycji ilustrującej rzekomą walkę o życie.

Jeszcze większym kłopotem była zależność skuteczności systemu od czujności żywych. Aby zdecydować się na nabycie „trumny bezpieczeństwa”, klient musiał uwierzyć, iż znajdzie się ktoś chętny do sprawowania nadzoru. Jedna niedozwolona przerwa na kiełbaski i piwo mogła spowodować powtórny śmierć pogrzebanego żywcem.

Nic dziwnego, że „bezpieczna trumna” nigdy nie stała się handlowym przebojem. Wielu członków uboższych warstw społeczeństwa, zwłaszcza w Anglii, zadowalało się pozostawieniem pisemnego żądania, aby ich ciało, zanim zostanie pogrzebane, poddać najpierw solidnemu biciu, kłuciu oraz przypiekaniu. Owe prostackie techniki weryfikowania zgonu obejmowały również wyjęcie serca z klatki piersiowej, przecięcie gardła, przebicie serca długim szpikulcem, amputację wszystkich palców, a także przecięcie tętnic. Aby zredukować ryzyko do zera, pisarka Harriet Martineau pozostawiła swojemu lekarzowi 10 gwinei, by przed pogrzebem odciął jej głowę. Ciekawe, czy wypełnił tę obietnicę...?

Obawa przed tragiczną pomyłką skłoniła medyków do szukania mniej zawodnych metod stwierdzania zgonu. Oprócz wspomnianej wyżej lewatywy sugerowano umieszczenie kilku dorodnych insektów w uchu zmarłego, lub pijawek w pobliżu jego odbytu.

W XIX-wiecznej Ameryce strach przed pogrzebaniem żywcem obudzili cieszący się znaczną popularnością pisarze, a przede wszystkim Edgar Allan Poe. Wracał on do tego tematu z zastanawiającą regularnością. Motyw ów pojawia się w

Przedwczesnym pogrzebaniu, który jest jednym ze słabszych utworów mistrza, ale także w takim arcydziele, jak Beczka amontillado, gdzie Montresor zamurówuje w podziemnej krypcie swojego wroga Fortunato.

Czarny kot opowiada z kolei o kotce, która została pogrzebana żywcem wraz z trupem. W Zagładzie domu Uscherów siostra Redericka Uchera wydostaje się z krypty, by szukać zemsty na swoim bracie. Owa dręcząca pisarza obsesja najdziwniejszą postać przybiera w historii zatytułowanej Berenika. Narratora ogarnia obsesja na punkcie zębów jego słabowitej kuzynki. Siedzi akurat w bibliotece, gdy służąca przybiega z wiadomością, iż grób Bereniki został zbezczeszczony, a jej zniekształcone ciało okazało się pełne życia. Służąca nagle wskazuje na Egeusa, którego ubranie poplamione jest krwią; ten przerażony chwyta małe pudełko, które spada na ziemię, ukazując, w jednym z najstraszliwszych zdań w całej literaturze, „kilka instrumentów dentystycznych oraz trzydzieści dwa białe, jakby z kości słoniowej wykonane kostki, które rozsypały się dookoła”.

Opowiadania Poe i innych autorów, publikowane w magazynach takich jak Blackwood, rozprzestrzeniły ponurą plotkę po całych Stanach. Liderzy amerykańskiej reformy pogrzebowej często byli spirytystami, których obawy potęgowała jeszcze wiara, że dusza może opuszczać ciało i wędrować samotnie po świecie.

Czy ludzie rzeczywiście byli grzebani żywcem? Kilka takich incydentów godnych jest rozważenia. Np. podczas epidemii cholery ryzyko tego typu znacznie wzrastało: współcześnie w krajach Trzeciego Świata przedwczesne pogrzeby zdarzają się częściej, ale mylne diagnozy nie są wykluczone także w krajach wysoko rozwiniętych.

Jednym z najsłynniejszych przypadków udokumentowanego pogrzebania żywcem jest sprawa matki generała Roberta E. Lee. Otóż zasnęłą kobietę po śmierci złożono w rodzinnej krypcie i gorąco opłakiwano. Wówczas zjawił się pewien krewniak, który

nie mógł być obecny na pogrzebie. Chcąc pożegnać się z nieboszczką, uchylił wieko trumny. I wtedy zauważył, że obfita pierś denatki porusza się w regularnych odstępach czasu. Kiedy nieboszczka odzyskała przytomność, złażała rodzinę za „zbyt pośpieszne wyciąganie niewczesnych wniosków”.

O niemałym szczęściu może też mówić radziecki fizyk Lew Landau, noblista z 1962 roku, który trzykrotnie zapadał w śpiączkę i trzykrotnie z niej wychodził. Bogu dzięki letarg wielkiego uczonego nie został uznany za jego zgon. W przeciwnym wypadku – ku swemu przerażeniu – mógłby „wracać do życia” w rodzinnym grobowcu.

W 1992 roku gazety na całym świecie opisały przypadek pewnego 75-letniego Rumuna, który zadławił się kością kurczaka, po czym upadł bez przytomności. Zawezwany lekarz postawił diagnozę: atak serca, i wypisał akt zgonu. Trzy dni po pogrzebie, pracujący na cmentarzu grabarze usłyszeli dziwne odgłosy dochodzące z jednej z trumien. Szybko odkopali dębową skrzynię i uchylił wieka. Jakie było ich zdziwienie, gdy zobaczyli „żywego nieboszczyka”, który w elegancki sposób podziękował wybawcom. Niestety, dalszy ciąg tej historii nie budzi już optymizmu; denat bowiem swym zmartwychwstaniem nikogo nie uszczęśliwił. Żona wyrzuciła go z domu, bank nie chciał respektować jego prawa do własnych oszczędności, lekarz zaś i miejscy urzędnicy ociągali się z unieważnieniem aktu zgonu, który uniemożliwiał Rumunowi normalne funkcjonowanie w społeczeństwie.

Jeszcze tragiczniejsza historia przydarzyła się Grigorijowi Rodonai, który – zamrożony z chłodni po swej śmierci – nieoczekiwanie ocknął się na stole w prosektorium.

Rodonai ze zdziwieniem patrzył na swój rozcięty fachowo brzuch i otaczających go patologów, którzy zachowywali się, jakby ujrzeli ducha. Po tym zajściu szef zespołu sekcyjnego był zmuszony wziąć urlop dla podreperowania nerwów.

Znawcy zagadnienia uważają, że pandemiczny strach przed pogrzebaniem żywcem wyparował gdzieś u schyłku XIX stulecia. Odeszła epoka romantycznej fantastyki, lubującej się w makabrycznej grozie. Nowoczesna medycyna, praktycznie jest w stanie wykluczyć omyłkę, jeśli chodzi o stwierdzenie zgonu.

Nie jest tak jednak do końca. Poza tym, obsesja o jakiej mowa, trwa nadal. Tak się bowiem składa, że coraz większym zainteresowaniem cieszą się – produkowane obecnie głównie w USA – nowe „trumny bezpieczeństwa”, zaopatrzone w urządzenia elektroniczne oraz łączność radiową. W takiej trumnie można przeżyć nawet kilka miesięcy: przypomina ona jednoosobowy apartament ze wszystkimi wygodami.

Trzeba by się zatem zastanowić, czy mit o pogrzebaniu żywcem nie spotyka się tu z mitem o zmartwychwstaniu. I czy nie mamy przypadkiem do czynienia z heroiczną próbą ocalenia naszych ciał przed ostatecznym rozpadem? Jedno nie ulega wątpliwości: wspomnianą obsesją – choć to nieładnie – żywi się współczesna kultura masowa. Oto wybrane przykłady:

W szóstej serii „Buffy – łowcy Wampirów” przyjaciele Buffy próbują przywrócić ją do życia. Sądząc, że ponieśli porażkę, odchodzą od jej grobu i zmartwychwstała Buffy musi sama wydostać się z trumny. W jednym z odcinków czwartej serii Alias Sydney została pogrzebana żywcem, bowiem podwójny agent, z którym współpracowała, okazał się tym „złym”. Na szczęście na cmentarzu w ostatniej chwili zjawia się Marshall, wyposażony z łopate.

W filmie „Kasyno” Nicky Santoro i jego brat Dominik zostają pobici i pogrzebani żywcem na polu kukurydzianym z Indianie.

Także w filmie „Tlen” pewien zły człowiek żąda pieniędzy za wyjawienie miejsca, gdzie pogrzebał żywcem żonę bogatego biznesmena.

W mydlanej operze zatytułowanej „Wszystkie moje dzieci” Greg Madden zostaje zakopany w publicznym parku w skrzyni, do

której powietrze dociera przez rurkę i która zawiera pokaźny zapas wody i jedzenia. Taka tortura ma go skłonić do wyjawienia pewnej tajemnicy. Nie umiera w wyniku braku powietrza, wody czy pożywienia, nie topi się, gdy po ulewnym deszczu skrzynię wypełnia woda, dopiero trzęsienie ziemi sprawia, że ten nad podziw odporny osobnik traci życie.

W serialu „Prawo i porządek” April Troost grzebie żywcem swoje zdeformowane dziecko.

W jednym z odcinków serialu „Detektyw Monk”, pan Monk zostaje zakopany żywcem z trumnie, ale wykopują go, zanim brak powietrza staje się naprawdę nie do zniesienia.

W węgierskim filmie „Szymon Mag” główny bohater odbywa pojedynek z francuskim czarnoksiężnikiem. Obaj zostają mianowicie zakopani na trzy dni.

W profesjonalnym wrestlingu istnieją zawody zwane „Pojedynkiem pogrzebanych żywcem”, podczas których przegranym jest ten z przeciwników, który znika pod warstwą błota lub daje zamknąć się w skrzyni.

We francusko-holenderskim filmie „Zniknięcie” właśnie pogrzebanie żywcem stanowi punkt wyjścia dla akcji pełnej zaskakujących zwrotów.

W grze wideo zatytułowanej „Matka” („Earthbound Zero”), Pipi zostaje wsadzona do skrzyni i pogrzebana żywcem obok trzech Zombi na Cmentarzu w Podunk, a postać, którą jest gracz, musi ją odnaleźć i odprowadzić do Burmistrza, aby fabuła toczyła się dalej.

Jednym słowem: z obsesji – komercja, ze strachu – zabawa. Takie bywają losy rozmaitych idei.

Autor: Wojciech Chudziński

Źródło: [Infra](#)